

## **Dystansowanie się wierzących wobec swojego Kościoła. Próba zrozumienia zjawiska**

Ani niezręczności popełniane niekiedy przez ludzi Kościoła w trakcie zabiegów o odzyskanie kościelnego mienia, ani antykościelne nastawienie niektórych środowisk opiniotwórczych, ani brak gorliwości, kiepskie wykształcenie lub gorszące postępowanie jakiegoś konkretnego księdza nie mogłyby zrazić do Kościoła ludzi dobrze w nim zakorzenionych. Żeby katolik mógł się wyobcować z Kościoła, musi nie do końca zdawać sobie sprawę z tego, czym naprawdę jest Kościół w naszej drodze do Boga. Krótko mówiąc, kryzys przynależności do Kościoła wydaje się wcześniejszy niż te konkretne fakty, które powodują świadome oddalanie się od Kościoła.

Uproszczeniem wydaje się również obserwacja, z której zwierzało mi się wielu znajomych, że w tworzeniu atmosfery antykościelnej przodują ci, którzy odczuwają potrzebę samorozgrzeszenia z jakichś własnych niezgodności z Bożymi przykazaniami. Bo nawet jeśli prawdą jest, że katolicy, którzy porzucili swoich ślubnych małżonków albo nie pozwolili urodzić się wszystkim swoim dzieciom, pragną niekiedy zagłuszyć wyrzuty sumienia poprzez agresję przeciwko Kościołowi i podważanie jego znaczenia jako autorytetu moralnego – to przecież nigdy by im taki sposób unieważniania swoich win nie przyszedł do głowy, gdyby mieli oni pełną religijną świadomość tego, czym jest Kościół jako dar Boga dla ludzi.

Zakłócenia w religijnym otwarciu się na Boży dar Kościoła wydają się głęboką przyczyną wielu dzisiejszych odejść i oddaleń. Spróbujemy tutaj przyrzeć się czterem takim zakłóceniom.

### **Chrystus – tak, Kościół – nie**

Od czasów Jana Jakuba Rousseau błąka się w świadomości europejskiej uraz antyinstytucjonalny. Rousseau odrzucał prawdę o grzechu pierwotnym, wierzył, że z natury jesteśmy bezgrzeszni. Skąd

zatem tyle zła, skoro rodzimy się dobrzy i bezgrzeszni? Na to pytanie Rousseau odpowiadał po prostu: źródłem zła jest stworzona w ciągu pokoleń kultura, a najwięcej się go skumulowało w naszych instytucjach. Odtąd instytucja wielu Europejczykom zaczęła się kojarzyć negatywnie z bezwładem, z dławieniem spontaniczności, z represyjnością, z ustawianiem wszystkich pod jeden sznurek i nieliczeniem się z ludzką indywidualnością i wolnością.

Na gruncie wiary uraz antyinstytucjonalny wyraża się w postawie: „Chrystus – tak, Kościół – nie; Chrystusa podziwiam i kocham, Kościół odrzucam, bo jest on mi zawadą w kształtowaniu mojej własnej religijności i mojego własnego stosunku do Chrystusa”. Rezultatem tej postawy jest radykalnie negatywna ocena Kościoła, jak gdyby Kościół przez cały okres swych dziejów nie zajmował się niczym innym jak tylko zaciemnianiem autentycznej nauki Chrystusa oraz dawaniem zgorszenia i antyświadectwa we wszystkich dziedzinach, gdzie to tylko było możliwe.

Spróbujmy omawianą tu postawę przełożyć na sytuacje świeckie. Kto zajmuje stanowisko: „Chrystus – tak, Kościół – nie”, podobny jest do człowieka, który by mówił: „Kształcenie dzieci – tak, szkoła – nie; należy dołożyć wszelkich sił do tego, żeby wykształcić nasze dzieci jak najlepiej, ale szkoły są nam do tego niepotrzebne, a właściwie to nawet stanowią one przeszkodę utrudniającą kształcenie”. Kto mówi: „Chrystus – tak, Kościół – nie”, przypomina Polaka, który by twierdził: „Polskość – tak, państwo polskie – nie; miłością ojczyzny jest wypełnione całe moje serce, ale nie mówcie mi nic o państwie polskim, bo ono, tak jak każda instytucja, potrafi tylko to, co wzniosłe, ściągając do błota”.

Uraz antyinstytucjonalny świadczy o dużym zaburzeniu zmysłu rzeczywistości. Różne niedoskonałości związane z funkcjonowaniem instytucji (w ogóle nieuchronne, a w konkretnych przejawach – otwarte często na naprawę i reformę) brane są za dowód, jakoby samo istnienie instytucji było pozbawione sensu lub nawet było niszczyielskie dla wartości, którym dana instytucja chce służyć.

Absurdalność tej postawy spróbujmy zobaczyć na jeszcze innym przykładzie. Wyobraźmy sobie człowieka (może nawet samego siebie), który ma coś bardzo ważnego do zrobienia: wychować swoje dzieci, napisać mądrą książkę, założyć schronisko dla bezdomnych itp. I wyobraźmy sobie, że ten człowiek jest poważnie chory. Otóż to nie jest tak, że ciało jest mu przeszkodą w urzeczywistnieniu tego ważnego zadania; przeszkodą jest choroba, z której człowiek ów stara

się wyleczyć, a świadomość, że mam ważne zadania do wypełnienia, będzie sprzyjać mojemu wyzdrowieniu.

Zastosujmy ten przykład do naszego tematu: jeśli moją reakcją na jakieś niedoskonałości Kościoła jest postawa „Chrystus – tak, Kościół – nie”, to podobny jestem do „filozofa”, który sądzi, że najlepszym sposobem usuwania choroby jest doprowadzenie chorego do śmierci. I rzeczywiście, śmierć pacjenta gruntownie usuwa jego chorobę. Ale on już ani nie wychowa swoich dzieci, ani nie napisze mądrej książki, ani nie założy schroniska dla bezdomnych.

Czymś szczególnie zdumiewającym jest to, że negatywny stosunek do samej instytucjonalności Kościoła pojawia się także i u Polaków. Na przestrzeni ostatnich dwustu lat wrogowie naszego kraju włożyli tak wiele wysiłku w niszczenie i ograniczanie instytucjonalnej strony naszej wiary – poprzez likwidowanie klasztorów i szkół teologicznych, zamykanie kościołów i gazet religijnych, wysyłanie na Sybir i do obozów koncentracyjnych duchowieństwa, aż po niszczenie figur przydrożnych i zdejmowanie krzyży ze ścian szkół i szpitali. Mogłoby się wydawać, że dawana nam przez naszych nieprzyjaciół lekcja na temat ważności także instytucjonalnego zakorzenienia się wiary w naszym życiu zostanie przez nas na długo zapamiętana. Okazuje się jednak, że często wcale tak nie jest.

Postawa: „Chrystus – tak, Kościół – nie” jest przede wszystkim naigrawaniem się z samego Chrystusa. Bo przecież to Chrystus założył Kościół, aby nas nim obdarzyć (por. Mt 16, 18). Chciał On, żeby Kościół był ludem Nowego Przymierza, i to ludem widzialnym. To dlatego, na wzór dwunastu synów Jakuba, protoplastów ludu Starego Przymierza, dał Kościołowi dwunastu Apostołów, aby byli patriarchami nowego ludu. Dlatego też ustanowił chrzest jako bramę, przez którą wchodzi się do Kościoła również w wymiarze widzialnym, oraz Eucharystię, aby realnie jednoczyła i karmiła ten lud w jego drodze do życia wiecznego. Co więcej, Kościół otrzymał od Chrystusa uczestnictwo w Jego własnym autorytecie (por. Łk 10, 18; Mt 16, 19; 18, 17 n.). Obdarzył zaś Chrystus swój Kościół tym wszystkim dlatego, że go *umiłował (...) i wydał za niego samego siebie* (Ef, 25).

Jak widzimy, z której by strony nie spojrzeć na postawę: „Chrystus – tak, Kościół – nie”, ujawnia się jej nieautentyczność. Nieautentyczne jest też przeświadczenie zwolenników tej postawy, jakoby człowiek wierzący w Chrystusa, uniezależniając się od autorytetu Kościoła, osiągał większą dojrzałość duchową. W rzeczywistości człowiek wystawia się wówczas na pastwę rozmaitych autorytetów anonimowych, zazwyczaj wzajemnie między sobą sprzecznych, które nie tylko

odcinają go od Eucharystii i od Ewangelii, ale nawet od tych wartości naturalnych, na których budowali sens swojego życia mądrzy poganie. Kiedy więc ktoś powiada: „Chrystus – tak, Kościół – nie”, to albo nie wie, co mówi, albo wie, co mówi. W obu przypadkach jest to włączanie się w procesy dechrystianizacji, w pierwszym przypadku bezwiedne, w drugim – świadome.

### Selektywny stosunek do prawd wiary

Przypatrzmy się innemu wirusowi, który potrafi dechrystianizować nawet katolików bardzo przywiązanych do Kościoła i regularnie korzystających z jego posługi, a który w korzystnym dla siebie momencie powoduje ich dystansowanie się wobec Kościoła. Wirusem tym jest selektywny stosunek do prawd wiary i nauki moralnej Kościoła.

Niejeden katolik jest wręcz dumny z tego, że wprowadza swoją prywatną korektę do poszczególnych prawd nauczanych przez Kościół. I tak, jedni nie do końca przyjmują prawdę o Trójcy Świętej albo stanowczo odrzucają obietnicę zmartwychwstania ciała, uważając, że najzupełniej wystarczy wierzyć w nieśmiertelność samej tylko duszy. Inni widzą w Komunii Świętej dar mocy i miłości Bożej, ale nie mogą uwierzyć, żeby naprawdę i dosłownie była ona Ciałem Pańskim. Jeszcze inni uznają wprawdzie przykazanie „Nie zabijaj”, ale wydaje im się, że sam zdrowy rozsądek domaga się tego, żeby w niektórych przypadkach wolno było przerwać życie poczętemu dziecku lub człowiekowi beznadziejnie choremu; albo przyjmują naukę Chrystusa o nierozzerwalności małżeństwa, ale, jak to zgrabnie nazywają, „rozsądnie i bez przesadnej konsekwencji”.

Nieraz odczuwamy dumę z powodu takiej postawy, bo widzimy w niej potwierdzenie naszej rozumności, wolności, oryginalności i zmysłu krytycznego. Są to dzisiaj wartości wysoko cenione i wielu z nas chciałoby je sobie przypisać, nawet jeśli nam do nich daleko. Kto chce (przynajmniej we własnych oczach) uchodzić za człowieka krytycznego i oryginalnego, nie chce wiedzieć o tym, że cechy te wymagają nie tylko odpowiedniej predyspozycji, ale i wytrwałej pracy – będzie próbował pójść na łatwiznę i znajdzie sobie drogę na skróty. Otóż trudno udawać człowieka oryginalnego i sensownie krytycznego na terenie nauki czy sztuki, bo nawet do udawania potrzebna tam jest odrobina kompetencji. Za to dziedzina wiary i moralności stała się w naszych czasach polem, na którym w zasadzie każda niekompetencja może przyjąć pozę oryginalności i krytycznego myślenia.

Co niewłaściwego jest w selektywnym stosunku do prawd i nakazów wiary? Najpierw może spróbujemy uświadomić sobie, z jaką jasnością Nowy Testament przestrzega nas przed taką postawą. *Ktokolwiek zniósłby jedno z przykazań, choćby najmniejszych – czytamy w Ewangelii – i uczyłby tak ludzi, ten będzie najmniejszy w królestwie niebieskim* (Mt 5, 19). *Choćby ktoś przestrzegał całego Prawa – mówi w tym samym duchu Apostoł Jakub – a przestąpiłby jedno tylko przykazanie, ponosi winę za wszystkie* (Jk 2, 10). Nawet jeśli komuś się wydaje, że wierzy w Chrystusa – przestrzega Apostoł Jan – ale próbuje osłabić realizm tajemnicy Wcielenia, człowiek taki niech wie, że staje się w ten sposób wręcz wrogiem Chrystusa: *Wielu pojawiło się na świecie zwodziciele, którzy nie uznają, że Jezus Chrystus przyszedł w ciele ludzkim. Taki jest zwodzicielem i Antychrystem* (2 J 7). Z podobną stanowczością Apostoł Paweł ocenia niejakich Hymenajosa i Filetosa, którzy próbowali osłabić realizm obietnicy zmartwychwstania: *oni odpadli od prawdy, mówiąc, że zmartwychwstanie już nastąpiło, i wyracają wiarę niektórych* (2 Tm 2, 18).

Dlaczego Słowo Boże jest tutaj aż tak surowe? Odpowiedź wydaje się prosta: kto przyjmuje tylko niektóre prawdy i nakazy wiary, wówczas również te, które przyjmuje, przyjmuje dlatego, że mu się podobają albo z jakichś innych ludzkich względów, a nie dlatego, że tak nas poucza sam Bóg. Odrzucając część nauki Kościoła lub po swoim ją zmieniając, dajemy wyraz naszej niewierze w to, że Kościół jest darem Bożym dla ludzi i że sam Duch Święty czuwa nad autentycznością jego nauki. To właśnie dlatego, nie przyjmując jednej prawdy wiary, tym samym również w pozostałe nie wierzymy prawdziwie, lecz co najwyżej przyjmujemy je na sposób czysto ludzki.

Postawa selektywna wobec przesłania religijnego jest czymś zwyczajnym w religiach opierających się na mitologii. Mity są bowiem raczej narzędziem wspomagającym człowieka w jego poszukiwaniach ostatecznych aniżeli wyrazem znalezionej prawdy. Toteż wybieranie w materiale mitycznym treści aktualnie interesujących poszukującego oraz swobodne ich modyfikowanie jest czymś w pełni uprawnionym i nie budzi niczyjego zdziwienia, świadczy wręcz o żywotności danej mitologii.

Postawa katolika, który przebiera wśród prawd objawionych przez Boga i głoszonych przez Kościół, nie ma więc nic wspólnego z krytycznym myśleniem. Jest zwyczajną próbą odnowy myślenia mitologicznego, próbą zdegradowania wiary chrześcijańskiej do poziomu jeszcze jednej mitologii. Postawa ta odbiera chrześcijaństwu jego tożsamość, katolik traktuje tu bowiem swoją wiarę jako rezerwuar mitów, z których

każdy może sobie skonstruować swój własny prywatny światopogląd. A przecież to nie mit, tylko naprawdę *Bóg tak umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał* (J 3, 16). I to nie mit, tylko naprawdę przez krzyż Jezusa Chrystusa wszyscy zostaliśmy odkupieni. I naprawdę – a nie tylko w marzeniach mitologicznych – otrzymaliśmy obietnicę zmartwychwstania. Wiara polega na realnym otwieraniu się na dary zbawcze, których Bóg rzeczywiście udziela człowiekowi<sup>1</sup>.

Katolik przywiązany do Kościoła i chętnie zaspokajający w nim swoje duchowe potrzeby, ale niezamierzający wierzyć w pełnej jedności z Kościołem, sprawia wrażenie człowieka wierzącego, mimo iż nim nie jest. Na szczęście, nieraz pod tą skorupą wiary zakiełkuje wiara prawdziwa i wówczas człowiek pozornie wierzący zaczyna się stawać człowiekiem prawdziwie wierzącym. Ale jeśli pod wpływem jakichś okoliczności skorupa się rozpadnie i okaże się, że tego człowieka bardzo niewiele łączy z Kościołem, nie należy się temu dziwić. Może tylko warto wówczas przypomnieć sobie słowa Pana Jezusa, że *nie ma nic tajemnego, co by ujawnione być nie miało, i nic nie jest tak ukryte, co by nie miało wyjść na jaw* (Mk 4, 22).

### Wiara mało praktykowana wydaje się postawą przejściową

W sposób bardziej jeszcze widoczny sytuuje się na zewnątrz Kościoła katolik, którego określamy „wierzący, niepraktykujący” (w rzeczywistości jest to ktoś nie tyle niepraktykujący, lecz raczej mało praktykujący). Nieraz jest to człowiek pełen uczuciowego przywiązania do Kościoła, znajdujący w Kościele swoje duchowe korzenie i miejsce swej duchowej identyfikacji. Ale nawet wówczas, kiedy tym słabutkim związkom z Kościołem brak wzmocnienia uczuciowego, należy je cenić, gdyż w odpowiednim momencie mogą one ułatwić pełne wejście do Kościoła i otwarcie na znajdujące się w nim Boże dary.

Zatem w wierze mało praktykowanej można zauważyć aspekt pozytywny i aspekt negatywny. To, że ktoś trwa w wierze i dzięki niej czuje się jakoś związany z Kościołem, zawsze jest czymś pozytywnym, nawet jeśli jest to wiara wątła. Czymś negatywnym jest wątpliwość tej wiary. Podobnie jak czymś negatywnym jest choroba, ale to, że człowiek chory żyje, jest przecież czymś pozytywnym.

<sup>1</sup> Problematykę tę szerzej przedstawiam w tekście pt. *Wiara i wierzenia*, w: J. Salij, *Dylematy naszych czasów*, Poznań 1998, s. 20–35.

Ta negatywna strona duchowej sytuacji mało praktykujących katolików sprawia nie tylko to, że ich związek z Kościołem jest raczej luźny, ale również to, że nawet z powodów całkiem przypadkowych może się rozluźnić jeszcze bardziej. Wydaje się, że statystycznie postrzegalne fale niechęci wobec Kościoła w społeczeństwie katolickim możliwe są tylko wówczas, kiedy stosunkowo wysoki procent tego społeczeństwa stanowią katolicy mało praktykujący. W każdym razie, w społeczeństwie o wysokim poziomie gorliwości religijnej, a również w społeczeństwie w zasadzie religijnie obojętnym pojawianie się takich fal wydaje się mniej prawdopodobne.

Jest tak zapewne dlatego, że zarówno głębokie zaangażowanie w wiarę, jak i zupełny jego brak są to postawy stosunkowo stabilne. Natomiast wiara mało praktykowana wydaje się postawą z natury swojej przejściową, zmierzającą bądź do całkowitego odejścia od wiary, bądź do jej odnowy. I właśnie tutaj leży przyczyna tego, że do wyzwolenia niechęci wobec Kościoła u ludzi znajdujących się w takiej właśnie sytuacji religijnej wystarczą nieraz fakty obiektywnie błahe. Podobnie jak do przechylenia się ciężaru balansującego na krawędzi wystarczy trącić go palcem. Rzeczywistą siłą napędową tego dystansowania się wobec Kościoła wydają się zaawansowane już procesy osłabienia w wierze, w samym Kościele zbyt mało zauważane.

W tym miejscu nasuwa się smętna refleksja. Gdybyśmy w Kościele głębiej rozumieli nieuchronną przejściowość zjawiska wiary mało praktykowanej i wkładali więcej przemyślanego i przemodłonego wysiłku w odnowę i umacnianie wiary wszędzie tam, gdzie znalazła się ona w kryzysie, wiele odejść miałyby przebieg dokładnie odwrotny: nie byłyby odejściami, tylko powrotami do wiary żywej i zaangażowanej.

### **Konsumencki stosunek do Kościoła**

Jest czymś niemożliwym i nie do pomyślenia, żeby rodzinę porzucił taki współmałżonek, który należy do niej całkowicie i aktywnie ją współtworzy. Żeby od rodziny odejść, trzeba już przedtem być w niej kimś trochę od zewnątrz. Podobnie jest z naszą przynależnością do Kościoła. Wszystkie omawiane tu zakłócenia w naszym otwieraniu się na Boży dar Kościoła polegają na tym, że ustawiamy się wobec Kościoła jako ktoś trochę od zewnątrz.

Otóż okazuje się, że nawet duża gorliwość religijna nie zawsze chroni od tego błędu. Można nawet regularnie uczestniczyć w codziennej mszy

św., a zarazem postrzegać Kościół jako instytucję wprawdzie ogromnie ważną i niezastąpioną, ale wobec siebie jednak zewnętrzną: jeżeli Kościół traktuje się jako instytucję usługową, przeznaczoną do zaspokajania potrzeb religijnych, wobec której samemu ma się stosunek konsumencki. Konsumencki stosunek do Kościoła jest postawą wśród współczesnych katolików raczej rozpowszechnioną. Dzieje się tak dlatego, że współczesne społeczeństwo osiągnęło bezprecedensowy poziom złożoności, co między innymi wyraża się gęstą siecią różnorodnych instytucji usługowych. Pokusa patrzenia na Kościół jako na jedną z instytucji usługowych, nastawiającą się mianowicie na zaspokajanie potrzeb duchowych, stała się w tej sytuacji czymś nieuniknionym. Niestety, szeroko tej pokusie ulegamy i rzeczywiście często tak właśnie swój Kościół traktujemy.

Rozpowszechnia się więc stosunek do Kościoła na sposób klienta korzystającego z usług. Klient jest zawsze wobec instytucji, z usług której korzysta, kimś z zewnątrz, nawet jeśli usługi całkowicie go zadowolają i korzysta z nich stale. Klient jednak praktycznie nigdy nie czuje się naprawdę odpowiedzialny za instytucję, w której jest obsługiwany. Postawą właściwą dla klienta jest raczej stała gotowość do osądzania, chwalenia lub krytykowania poziomu usług. Jeśli poziom usług go nie zadowala, klient po prostu przestaje z nich korzystać. Porzuci on „swoją” instytucję usługową nawet wówczas, kiedy nie ma przeciwko niej żadnych zarzutów, na przykład jeśli instytucja konkurencyjna potrafi go obsłużyć lepiej.

Biedny jest Kościół, kiedy wielu nawet jego gorliwych członków nastawia się wyłącznie na korzystanie z jego usług i nie poczuwa się do obowiązku dzielenia się swoją wiarą z innymi ani do aktywnego uczestnictwa w różnych jego konkretnych problemach. Kiepska przyszłość czeka taki Kościół, w którym całą odpowiedzialność za jego życie i rozwój musi dźwigać duchowieństwo i nawet główną troskę o przekazanie wiary swoim dzieciom rodzice zrzucają na księży. Nawet idealni i najbardziej poświęcający się księża nie uchroniliby takiego Kościoła od depopulacji, a przecież nie ma na tej ziemi ludzi idealnych.

W Kościele podzielonym na obsługę i klientów osłabieniu i wypaczeniu uległa zasada wzajemnej komunii, która dla Kościoła stanowi warunek normalnego życia. Odejścia całkowite i częściowe od takiego Kościoła, odejścia może nawet na dużą skalę, wydają się czymś nieuniknionym. Chyba że uda nam się przezwyciężyć nasz głównie konsumencki stosunek do Kościoła i uda nam się przełamać nasz przeważnie bierny stosunek do wiary.

Żeby to się stało, musimy odnaleźć w Kościele tajemnicę wzajemnej komunii. Musimy wreszcie zrozumieć, że Bóg tak pomyślał nam Kościół, że nie tylko on jest potrzebny nam, ale również my jemu, że jesteśmy też, jako obdarzeni tą samą wiarą, potrzebni sobie wzajemnie.

To właśnie dlatego, że podzieliliśmy się w Kościele na obsługę i klientów, tak często czujemy się w naszych parafiach obco i anonimowo. Główna tego przyczyna tkwi, niestety, w nas samych. Bo jeśli ktoś przychodzi do Kościoła głównie po to, żeby zaspokoić swoje potrzeby religijne, trudno się dziwić temu, że czuje się w nim tak, jak się ludzie zazwyczaj czują w instytucjach usługowych. Żeby poczuć się w Kościele domownikiem, trzeba znajdować się w autentycznych relacjach wiary przynajmniej z kilkorgiem współwyznawców. Trzeba też *być zawsze gotowym do obrony wobec każdego, kto domaga się od was uzasadnienia tej nadziei, która w was jest* (1 P 3, 15). I trzeba sprawy Kościoła – zarówno powszechnego, jak parafialnego – przyjmować jako nasze wspólne sprawy.

### **Znak rozpoznawczy gorliwych katolików – świętowanie niedzieli**

Odchodzenie od praktyk religijnych, tak dziś powszechne, jest powrotem do religijności pogańskiej. Dziś może mało zdajemy sobie sprawę z tego, jakim fenomenem była instytucja cotygodniowego święta. Ludzie czegoś takiego by nie wymyślili, cotygodniowe święto to wielki dar Boży. Bóg musiał nas wręcz przekonywać, że zależy Mu na tym, żebyśmy się do Niego zbliżali, żebyśmy chcieli się z Nim przyjaźnić – dlatego obdarzył swój lud szabatem, dlatego żądał codziennej modlitwy. Bo poganin, owszem, swoich bogów uznawał, ale rozumiał też, że bogowie są wielcy i potężni, a on mały i słaby. Dlatego starał się bogom nie narzucać. Świętować kilka razy w roku, szukać u bogów pomocy w sytuacjach trudnych – owszem, ale do głowy by mu nie przyszło, żeby z bogiem, bogami się przyjaźnić<sup>2</sup>. Warto zdawać sobie sprawę z tego, że dzisiejsze dystansowanie się od praktyk religijnych to nie tylko częściowe odchodzenie od Kościoła, to również chęć bycia chrześcijaninem na sposób pogański.

<sup>2</sup> Problematykę tę przedstawiam w tekście pt. *Wiara świętująca i wiara odświętna*, w: J. Salij, dz. cyt., s. 36–50.

Ale tutaj uwaga! Nie możemy popełniać błędu analogicznego, jaki kiedyś popełnili janseniści. Janseniści tak mocno nawoływali do religijnej gorliwości i podkreślali powinność wypełniania praktyk religijnych, że narzucili Francuzom tezę, iż jeśli ktoś rzadko chodzi na mszę św., to w gruncie rzeczy nie jest katolikiem. Otóż osobiście bardzo mnie przekonuje teza francuskiego politologa Alaina Besançon, że janseniści bardzo przyczynili się do dechrystianizacji Francji. Wmówili wielu ludziom, którzy byli katolikami (prawda, że mało gorliwymi), że są niewierzący. Zamiast starać się przytrzymać tych ludzi w Kościele i zapraszać ich do wnętrza, oni ich odpędzali<sup>3</sup>.

O chęci wyrzucania z Kościoła tych, którzy nie do końca się w nim mieszczą, pisał również John Richard Neuhaus, konwertyta, który przedtem przez wiele lat był pastorem luterańskim. Ale może po prostu go zacytuje: *Mam przyjaciół katolików, którzy uważają, że Kościół powinien się pozbyć wszelkich dysydentów, podkopujących wiarę. Rozumiem ten gniew, ale myślę, że moi przyjaciele-konserwatyści nie mają racji, gdy twierdzą, że nie powinno się mówić, iż w Stanach mamy 60 milionów katolików, jak wynika z danych oficjalnych. Powinno się podawać liczbę, powiedzmy, 6 milionów – prawdziwych katolików. Odpowiadam na to: moi drodzy, nie po to zostałem katolikiem, żeby być protestantem. Bo to jest protestanckie podejście do rzeczywistości, w którym wyklucza się tych, którzy nie dorastają do założonych kryteriów<sup>4</sup>.*

Kościół katolicki to jest matka, która chce swoją miłością objąć wszystkich, także tych, którzy sami się do Kościoła nie pchają, a nawet się od niego dystansują.

### Zgorszenie z powodu zła w Kościele

A przecież nie brak dziś sił wrogich Kościołowi, które chciałyby jak najwięcej katolików do ich Kościoła zniechęcić. Zwłaszcza mass media stały się miejscem nieustannego bluzgania na Kościół. Niekiedy odnosi się wrażenie, że ludzie odpowiedzialni za światowe media uważaliby za stracony taki dzień, w którym nie krytykuje się Kościoła za takie lub inne zło. Kościół jest przedstawiany tak, jakby

<sup>3</sup> A. Besançon, *Trois tentations de l'Eglise*, Paris 1996. Tezę Besançon przedstawia w trakcie omawiania pierwszej z pokus, napastujących (jego zdaniem) współczesny Kościół, pokusy antydemokratycznej. Dwie pozostałe pokusy to kuszenie demokratyczne oraz kuszenie muzułmańskie.

<sup>4</sup> R.J. Neuhaus, *Prorok z Nowego Jorku*, Warszawa 2010, s. 57.

i obecnie, i w swoich dziejach niczym innym się nie zajmował, tylko czynieniem zła. Słowem – instytucja przestępca.

Pokażę może kilka „wytrychów”, jakich używam podczas rozmów na temat zła w Kościele. Wytrych pierwszy zawdzięczam nauczycielce, która doświadczała wielkiego dyskomfortu wskutek tego, że w jej pokoju nauczycielskim nieustannie „wygadywało” się na Kościół. W pewnym momencie zorientowałam się – wyznała podczas spotkania w duszpasterstwie nauczycieli – kto przewodniczy tej nagonce. Mianowicie jest to kolega, który żyje już z czwartą kobietą, oraz koleżanka, o której ja sama wiem, że dokonała dwóch aborcji, a czy to są wszystkie jej aborcje, tego nie wiem. Bardzo często stawianie zarzutów – czasem skądinąd słusznych – wynika z potrzeby samousprawiedliwienia. To dlatego zło w Kościele – rzeczywiste lub oszczerzo Kościołowi przypisane – grzesznikom niezamierzającym się nawracać sprawia satysfakcję.

Drugim moim wytrychem jest chińskie przysłowie, że jedno upadające drzewo robi więcej huk w lesie, niż to, że cały las rośnie. I to jest prawda. Zło robi dużo hałasu, ale to dlatego, że zła być nie powinno. Natomiast temu, że jest dobro, nikt się nie dziwi. W Kościele jest mnóstwo dobra, a jednak nie trzeba się dziwić, że zło, które jest w nim zjawiskiem raczej wyjątkowym, jest o wiele bardziej zauważane i zazwyczaj budzi wielkie zgorzienie. Bo gdzie jak gdzie, ale w Kościele wielkie zło naprawdę nie powinno się zdarzać.

Trzeci wytrych zawdzięczam pewnemu rabinowi, który napisał mniej więcej tak: grzechy naszego narodu żydowskiego są liczniejsze może niż piasek morski, ale nie z ich powodu nasz naród jest nienawidzony; jest on nienawidzony z powodu swoich zalet. Myślę, że analogicznie można powiedzieć o Kościele. Owszem, w Kościele jest dużo zła. Ale nie z tego powodu Kościół jest tak nieustannie piętnowany. Kościół jest nielubiany i krytykowany, a niekiedy nawet nienawidzony, z powodu swojej wierności Ewangelii. Z tego powodu, że wyraźnie naucza, iż przykazanie „nie zabijaj” znaczy „nie zabijaj”, a zasada „co Bóg złączył, człowiek niech nie rozłącza” – dzisiaj obowiązuje tak samo jak dawniej.

### **Co dobre – to my, co złe – to Kościół!**

Nie brak katolików, których przed pełnym zaangażowaniem się w wiarę powstrzymuje przypisywanie Kościołowi niemal całego zła, jakie wydarzyło się w historii. Niemiecki psycholog Manfred Lütz

twierdzi, że mamy tu do czynienia z typowym zjawiskiem przeniesienia. Tutaj polega ono na tym, że winy, które obciążają całe społeczeństwo, są zrzucane na Kościół, który był jego częścią. Zdaniem tego psychologa, od ponad dwóch stuleci funkcjonuje w świadomości Europejczyków ogromnie niesprawiedliwy dla Kościoła konsensus co do oceniania historycznej przeszłości: osiągnięciami szczytą się narody, zło przypisywane jest Kościołowi, i to przede wszystkim Kościołowi katolickiemu.

M. Lütz jest Niemcem, dlatego pokazuje, jak ten mechanizm działa u Niemców. Otóż w świadomości przeciętnego Niemca dwaj dominikanie, wielki średniowieczny przyrodznawca Albert Wielki oraz głęboki i oryginalny mistyk Mistrz Eckhart, to byli Niemcy, którymi naród niemiecki słusznie się chlubi, natomiast dwaj inni niemieccy dominikanie, Institoris i Sprenger, najbardziej znani teoretycy polowań na czarownice, to byli ludzie Kościoła, no bo przecież za palenie czarownic odpowiedzialny jest Kościół.

*Brało w tym udział całe społeczeństwo, do którego należeli też ludzie Kościoła. Bulla o wiedźmach papieża Innocentego VIII, której zamiarem było przynajmniej uregulowanie polowań na czarownice, naturalnie w naszych czasach nie do zaakceptowania, została wymuszona przez Niemców – dwóch dominikanów i dotyczyła właśnie ich działalności. Zarówno niemieccy katolicy Heinrich Institoris i Jakob Sprenger, jak i niemieccy ewangelicy Luter i Melancton zgodni byli w kwestii polowań na czarownice. W czasie reformacji w ogóle doszło do eksportu niemieckiego palenia czarownic na północ Europy. Jasno należy stwierdzić: straszne prześladowania czarownic nie były akcją powszechnego Kościoła katolickiego, ale raczej częścią naszej niemieckiej historycznej winy.*

*Ból tej winy został jednak uśmierzony przez to, że została ona przeniesiona na Kościół katolicki. Palący czarownice niemieccy dominikanie Institoris i Sprenger pozostali przedstawicielami Kościoła katolickiego, jednak niemiecki dominikanin i mistyk Mistrz Eckhart uważany jest za przedstawiciela narodu niemieckiego. Jakże to proste. Psychoanaliza nazywa ten fenomen rozszczepieniem dobra i zła, i jest to symptom neurotyczny. Pozytywne wydarzenia niemieckiej historii wrzucone zostają do historii narodu niemieckiego, natomiast negatywne – do ogródka Kościoła katolickiego<sup>5</sup>.*

<sup>5</sup> M. Lütz, *Obezważdliwiony olbrzym. Psychoanaliza Kościoła katolickiego*, Bielsko-Biała 2003, s. 25–27.

Tę odmienność w rozliczaniu win Kościoła i własnego narodu pokazuje M. Lütz na konkretnym przykładzie. Kiedy pisał swoją książkę, właśnie zapowiedziano wizytę prezydenta Niemiec w Pradze: *Niemiecki prezydent będzie wspominał niemiecką winę ostatnich siedemdziesięciu lat. Nikt nie oczekuje, że będzie on mówił o strasznych rzeczach, jakich dopuścili się w Pradze niemieccy landknechci podczas wojny trzydziestoletniej. Papież jednak oczywiście musi się usprawiedliwiać za przypadek Galileusza, który miał miejsce w tym samym czasie.*

Nieżyczliwie Kościołowi środowiska opiniotwórcze puściły ponadto w obieg szereg gruntownie nieprawdziwych zarzutów z cyklu pt. „Kościół zawsze był przeciwnikiem nauki i utrudniał jej postęp”, „Kościół już wielokrotnie się mylił”. Katolik, zamiast się na wszelki wypadek w obliczu takich zarzutów dystansować od Kościoła, powinien by raczej starać się poznawać prawdę historyczną i demaskować ich niesprawiedliwość<sup>6</sup>.

### Poniekąd podsumowanie

Na zakończenie przypomnijmy znaną scenę znad jeziora Geneza-ret, kiedy to obietnica Eucharystii zraziła do Pana Jezusa większość ludzi, dotąd Nim zachwyconych: *Odtąd wielu uczniów Jego się wycofało i już z Nim nie chodziło. Rzekł więc Jezus do Dwunastu: Czyż i wy chcecie odejść? Odpowiedział Mu Szymon Piotr: Panie, do kogóż pójdziemy? Ty masz słowa życia wiecznego (J 6, 66–68).*

Z Panem Jezusem naprawdę warto pozostać zawsze, nawet jeżeli większość od Niego odchodzi. Tylko On ma moc doprowadzić nas do życia wiecznego!

<sup>6</sup> Wspominam o tym, bo pragnę serdecznie polecić książkę: *Wyrok na Galileusza i inne 24 mity o nauce i religii*, red. R.L. Numbers, Warszawa 2010.

## Summary

### Believers' Distancing from Their Church

The article points to three causes of this trend today:

1. Crisis in people's faith in Jesus Christ. Today many Catholics regard Christ as a vaguely defined transcendental code rather than the Son of God and the Saviour. As a result, the "yes to Christ, no to the Church" approach often emerges and is backed by individualism, an attitude characteristic of our times. Consequently, Church membership becomes a question of cultural identity rather than an essential religious fact.
2. The tendency to reduce faith to the level of belief. This decreases sensitivity to religious truth and results in a selective approach towards the Church's faith and morality. As a consequence, religious practices are radically reduced and religious celebrations become as rare as those in ancient pagan religions.
3. The constant defamation of the Church observed since the Enlightenment period. Stereotypes present the Church as if it were a criminal organization. In social consciousness the Church, which has long been part of local communities, is blamed for many of those historical faults that lie with the entire society. The mass media make headline news of evil acts committed by people related to the Church, frequently exaggerating them and sometimes even creating so-called media facts, which have never taken place. Thus, for many Catholics open admission to Church membership is not easy.